

Oddechy



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Oddechy

Lorenz Trinkbier bał się.

Przez 35 lat swego życia jadał, sypiał, nienawidził, miał różne upodobania i wstręty, ale przedewszystkiem bał się — tak bezustannie i mocno, że gdyby kiedykolwiek opuściła go trwoga, a on zechciał ją odemścić na tych, co go przerażali, byłby najokrutniejszym człowiekiem, jeżeli nie w całych Prusach, to przynajmniej w całym Księstwie Poznańskim. Równie okrutnym zdołałby być tylko zając, przemieniony w lwa.

Już jako Wawrzuś Tryncza od dzieciństwa zdradzał pewną lękliwość; uciekając wszakże przed laty z ojcem, kryjąc się z nim po zaroślach i zbożach, dręczony obawą pogoni lub niepożądanego spotkania, dostał gwałtownych dreszczów strachu, które nim później ciągle trzęsły. W Poznaniu, dokąd z Kalisza po tygodniowej tułaczce przybył, owa febra wzmogła się jeszcze bardziej. Ojciec bowiem, uwięziony, wkrótce zmarł, a stryjeczna ciotka, której się chłopiec dostał w spadku, oświadczyła mu zaraz przy pierwszym spotkaniu:

— Jeżeli ani policyi, ani dzieciom moim nie będziesz „przeciwny”, dam ci przez dwa lata przytułek i jedzenie. W ciągu tego czasu powinieneś uzdolnić się produkcyjnie.

Nie zrozumiał Wawrzuś, jakim sposobem ma „uzdolnić się produkcyjnie”, ale zrozumiał, że musi odtąd tańcować między sześciora mieczami: policyą, ciotką i jej czworgiem dzieci. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że swoje zadanie spełnił z należytą pokorą i zręcznością: nie tylko bowiem policya zapisała go do ksiąg ludzkości stałej, młodzi krewniacy uznali za niezbędną dla siebie krzywą wierzbę, ale ciotka oceniając zasługi siostrzeńca, oddała go do gimnazjum. Przy pracy skończył je szybko, złożył egzamin państwowy, a przy poparciu znajomych opiekunki otrzymał posadę kancelisty w magistracie — zaczął być produkcyjnym.

Nie przestał się jednak bać, bądź utraty miejsca, bądź zbyt długiego pozostawania na niem. Dwadzieścia pięć talarów miesięcznie — dla biednego Trynczy było bardzo dużo, ale znowu dwadzieścia pięć talarów przez całe życie — w takiej szczupłej pensji marzenia jego zmieścić się nie mogły. Gdy skutkiem nielaski bezpośredniego zwierzchnika pasował się to z jedną, to z drugą obawą, wybuchła wojna francusko-pruska i Tryncza powołany został do rezerwy. Ohociaż mu nogi aż podkuliły się ze wzruszenia, przyjął tę konieczność z niejaką radością.

— Albo zginę — rzekł do ciotki — albo zaawansuję.

Nie zginął i zaawansował. Wysłany z oddziałem na zwiady, spoił chłopa francuskiego wódką i wydobył z niego potrzebną wiadomość. Za to pułkownik podziękował mu uroczyście.

— Jak się pan nazywasz?

— Tryncza.

— Panie Trinkbier, jesteś mężny, zasłużyłeś na order.

Ażeby nie spłoszyć zapowiedzianego odznaczenia i zyskać względy zwierzchności wojskowej, które zaważyć musiały na późniejszym jego losie, Tryncza nie tylko próbował upajać wszystkich spotkanych chłopów francuskich, ale przyjął z ust pułkownika nowy chrzest i postanowił stale nazywać się Trinkbier.

Mimo to Lorenz Trinkbier bał się ciągle, chociaż go po skończeniu wojny mianoowano asesorem, z pensją 40 talarów miesięcznie. Bo przecież i tę posadę mógł stracić, a ona znowu nie zdołałaby nakarmić wszystkich spełnionych jego marzeń, które nie były wielkie, ale za to żarłoczne. Przechadzając się wieczorami po okopach miasta, rozmyślał,

jakim by sposobem powiększyć swój zarobek i ożenić się. Żona bowiem stanowiła główny przedmiot jego samotnych rojeń i głębokich westchnień. Gdyby mógł być pewien, że będzie bezpłodnym i że we dwoje tylko będą zjadać 40 talarów! Ale pewność taka nie dawała się osiągnąć żadną znaną mu drogą. Chwilami nawet postanawiał sobie wyszukać wdowę bezdzietną, ale naprzód, poprzednie jej doświadczenie nie przedstawiało mu rękojmi, zwłaszcza że pod tym względem uważał się za jednostkę wyższą w rodzie męskim, powtóre, ojcowstwo miało także dla niego pewien urok.

Nosił więc w sobie te smutne marzenia i przebierał na ulicy kobiety, upatrując, która byłaby najwłaściwszą dla niego małżonką. I przyznać trzeba, że odpowiednich znajdował wiele. Należał on bowiem do tych podobno najliczniejszych mężczyzn, którzy w żadnej kobiecie nie widzą zupełnego człowieka, ale w każdej istotę pożądaną. W ciągu kilku-miesięcznych spacerów wybrał czternaście, których nie znał nawet z nazwiska, ale otrzymawszy podwyżkę, gotów był jedną poślubić.

Z wrodzonej i nabytej obawy nie zawiązywał Trinkbier stosunków towarzyskich.

Oprócz też starej posługaczki nie znał bliżej żadnej innej kobiety. Nieraz koledzy biurowi zapraszali go na zabawy: umiał im zawsze się oprzeć, gdyż nie odstępowała go myśl, że czas miłości jeszcze dla niego nie nadszedł, a sposobność obrażenia kogoś zdarzyć się mogła łatwo. Na posadzie zaś swojej nie czuł się dostatecznie ubezpieczonym i awansu pewnym.

Właśnie jednego z takich dni, kiedy rozmyślał o poślubieniu wdowy bezdzietnej, wezwano go do naczelnika wydziału:

— Rząd — rzekł, otulając się lekką tajemniczością zwierzchnik — a nawet, czego wszakże pan nie ponieś dalej, kanclerz państwa życzy sobie, ażeby wszyscy urzędnicy byli narodowo-liberałami, zwłaszcza przy wyborach do parlamentu. Pojmujesz pan?

— Ja, panie naczelniku — odpowiedział z pośpiechem Trinkbier — byłem narodowo-liberałem oddawna.

— Rząd życzy sobie — zauważył sucho naczelnik — ażebyś pan był nim od dziś.

Trinkbier wyszedł z zamąconą głową. W odpowiedzi naczelnika dostrzegł niechęć.

— Po co ja u dyabła — pytał siebie w rozpacz — wyrwałem się, że byłem narodowo-liberałem oddawna, kiedy nie byłem nim nigdy, kiedy kazano dopiero od dziś?

Rzeczywiście w zbytnej gorliwości skłamał. Przekonań bowiem politycznych nie miał żadnych, a gdy go nawet czasem napadała jakaś chętka, wypląsał ją obawą narażenia się zwierzchności i utracenia posady.

Zdradziwszy więc teraz swoją mniemaną barwę polityczną przed wyznaczonym terminem, wpadł w rozpacz, która niezawodnie doprowadziłaby go do samobójstwa, gdyby pewnego dnia znowu nie zawezwał go naczelnik.

— Czy pan pamiętasz — rzekł uprzejmie — że jutro są wybory do sejmu i że pan powinieneś być narodowo-liberalnym?

— Ach, panie naczelniku! — zawołał wzruszony Trinkbier, który w śmiertelnej trwodze spodziewał się usłyszeć dymisy, a teraz z radości nie mógł dokończyć zdania.

Wyszedł lekki, pokrzepiony na duchu, uradowany; lzy kręciły mu się w oczach, ręce otwierały do uścisku, usta układały do pocałunku. W każdym razie wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Nazajutrz jak gdyby przemienił się, bo promieniował śmiałością i energią. Nietylko oddał swój głos kandydatowi narodowo-liberalnemu, ale namówił dłań kilkunastu wyborców. Uwijał się na zebraniu, dowodził, przekonywał, nawet gromił przeciwników. Zachwycony jego ruchliwością jeden wyborca przedstawił mu się:

— Jestem Kinkel, piekarz, a odtąd narodowo-liberał — panu to zawdzięczam. Jeżeli za trzy lata będziesz pan kandydował, masz mój głos.

— To nie dla mnie, chybaby władza sobie życzyła — odparł Trinkbier, przerażony tym nagłym podskokiem w przyszłości, do którego zwierzchność go nie upoważniła.

— W każdym razie — rzekł Kinkel — zrobisz pan wielką przyjemność mnie, żonie mojej i córce, gdy zechcesz nas kiedykolwiek odwiedzić.

Znowu Trinkbier poczuł niespokojne drżenie serca. Miał poznać córkę, może jedną z tych, którą podczas spacerów wybrał? Co począć wobec 40 talarów pensyi? Pójść, czy nie pójść? Zadumanego od trzech dni nad tą zagadką, wezwano do naczelnika.

— Władza, oceniając pańskie zasługi podczas wyborów — rzekł zwierzchnik — podwyższyła panu pensję o 10 talarów miesięcznie.

Zdawało się Trinkbierowi, że ziemia pod jego stopami stężała w granit, ażeby mu dać mocne oparcie. Tegoż samego dnia, wystrojony i wonny kilkoma rodzajami pachnidła, poszedł z wizytą do Kinklów, a za trzy miesiące poprowadził do ołtarza ich tłustą córkę, która wprawdzie nie należała do jego wybranych na ulicy, ale odpowiadała jego wymaganiom małżeńskim.

Jakkolwiek Trinkbier, otrzymawszy wyższą pensję, nie potrzebował pragnąć bezdzietności, jednakże wkrótce przekonał się, że oszczędność nieba w błogosławieniu go byłaby bardzo pożądaną.

W ciągu czterech lat dało mu ono czterech synów i chorobę żony. Panna Kinkel, która posiadała objętość znaczną i wygląd, usuwający zupełnie powody obawy o jej wytrzymałość, jako pani Trinkbier zawiadła poniekąd nadzieje męża; zaczęła chudnąć, marnieć i trzeciego dziecka sama już wykarmić nie mogła. Przybyła więc mamka, wcale nieprzewidywana w buddziecie domowym, a co gorsza, przybył nowy syn, poderwawszy jeszcze mocniej zdrowie matki. Karmiono go już mlekiem krowim i w głębi serca życzone sobie, ażeby szybko opuścił macoszą ziemię, która po urodzeniu odmówiła mu piersi ludzkiej i radości rodziców, a potem odmówiłaby może chleba.

Po krótkim spokoju Trinkbier znowu bał się. Wobec zwierzchności czuł się dość umocowanym na urządzie, ale od lat kilku, prócz pokory i pracy, które uważał za swój obowiązek, do dawnych dobrych kresek nie dodał żadnej świeżej zasługą wyjątkową. O posunięciu się więc ku górze zwątpił, gdyż gazety zaczęły wykazywać konieczność wydalania „obcych żywiołów” z urzędów, a towarzysz biurowy spytał go znacząco:

— Właściwie pan jesteś polakiem?

— Trinkbier — polak?

— Kiedy pan — odparł kolega — dawniej nazywałeś się Tryncza i dopiero od wojny...

— Przechrzcił mnie pułkownik Kischke — wykrztusił Trinkbier, któremu omdlały głos w gardle uwiązał.

Po chwili dodał, zdobywając się na lepszą minę:

— Zapewne pan i o tem wiesz, że za dowcipne wybadanie chłopca francuskiego dostałem krzyż, że przyczyniłem się do zwycięstwa narodowo-liberała w Poznaniu, że...

— Wiem — zakończył Niemiec — i na urodziny powinszuję panu.

Rozmowa ta odbijająca w sobie prąd, przebiegająca gazety i niewątpliwie tryskająca ze sfer wyższych, zaklinowała Trinkbiera.

Po długich dumaniach doszedł on do wniosku, że swoją niemieckość musi ponownie czemś zaznaczyć — wymaga tego zarówno terazniejsze bezpieczeństwo, jak i przyszły awans. Ale po jakie wawrzyny polityczne sięgnąć może skromny urzędnik magistratu? Będzie wypierał się swego pochodzenia, spotwarzał swoich rodaków, śpiewał *Wacht am Rhein*, wyznawał narodowo-liberalizm? Wszystko to Trinkbier robił, a przecież widocznie nie stał z siebie narodowego piętna, skoro mu je z szyderstwem wskazywano.

Przez pół roku chodził codziennie po tych samych wałach miejskich, na których kiedyś przebierał kobiety, mogące go uszczęśliwić — i rozmyślał nad sposobami załatania na drugiej skórze narodowej wszelkich dziurek. Nareszcie pewnego wieczoru stanął, jak gdyby olśniony nagłym i wielkim wynalazkiem. Twarz rozpogodziła mu się, na usta wybiegł uśmiech, z oczu strzeliło wesele. Była to wszakże przemiana krótka, bo natychmiast radość rozplynęła się w pognębieniu, które ją zmyło i zamroczyło cieniem wewnętrznej walki. Jak zwykle w trudnych wypadkach poszedł do żony i otworzył przed nią swoje serce. Zastał ją smutną i jeszcze mizerniejszą niż zwykle.

— Wiesz co — rzekł — jestem przekonany, że Pan Bóg ma do mnie jakiś żal.

— E, wątpię — odezwała się kobieta z gorzkim uśmiechem — ja sędzę, że ma do ciebie szczególną słabość.

— Gdzie tam, moja droga, ty ciągle chorujesz, niedostatek do domu zagląda...

— Ale zato przybędzie piąte dziecko.

— Co! — krzyknął Trinkbier, chwytając się za głowę — Nie żartujesz?

— Nie, Lorenz, nie.

Oniemiał, bo była to nowina niespodziewana, chociaż całkiem naturalna. Długo chodził po pokoju, ciężko wzdychając i szarpiąc podbródek, nareszcie stanął przed żoną.

— Tak — szepnął — Pan Bóg gniewa się na mnie i wskazuje mi drogę poprawy.

— Jaką? — spytała obojętnie kobieta.

— Nie może on błogosławić rodziny, w której mąż modli się inaczej, a żona inaczej.

— O, nie żądam ode mnie tej ofiary — zawołała boleśnie — nie zmienię mojej religii.

— Ale ja zmienię moją — rzekł z wysiloną stanowczością.

Podawała mu rękę i uścisnęła go.

— Dziękuję ci; to będzie lepiej, daleko lepiej.

Zaczął ją całować i pieścić tak zawzięcie, że zaledwie rzewną prośbą powstrzymała te czułości w uwzględniających jej stan granicach.

— Zobaczysz — mówił — będziesz zdrowa, rumiana, tłusta jak dawniej. Dzieci mamy dosyć. Bóg widzi, że więcej nam nie potrzeba. Przy jego pomocy dostanę lepszą posadę. Wtedy pojedziemy w góry szląskie, jak cię kocham, pojedziemy. To już postanowione.

Mimo to noc spędził niedobrze. Snu złapać nie mógł, rzucał się na łóżku, wzdychał, szeptał do siebie i dopiero nad ranem zasnął. Uplęło dni kilka, a on nie zrobił ani jednego kroku w swem przedsięwzięciu. Bał się...

Tymczasem, idąc do biura, spotkał ojca żony, który go powitał kwaśno.

— Piękna historia — rzekł teść. — Słyszę, że Ludwika znowu ma zostać matką. Tobie się zdaje, że dzieci — to bułki? Tfu, do dyabła!

— Trudno — bąknął nieśmiało zięć — co robić.

— Co? — wrzasnął stary. — Pisać urzędowe papiery, pisać, pisać w dzień i w nocy, to się rozerwiesz. A kiedy już wszystko napiszesz, zacznij przepisywać.

— Ba! — odparł zięć.

— Ba! — powtórzył teść.

Zamilkli oba.

— Mam kłopot — odezwał się Trinkbier, spuszczać oczy.

— Jeszcze jeden — wtrącił wzdorliwie Kinkel. — Może ci się coś urodziło na boku.

— Postanowiłem zmienić wiarę i przyjąć ewangelicką.

— A to dlaczego?

— Naprzód, ciągnie mnie ku niej przekonanie, a po wtóre trudności służbowe. Katolik musi być zawsze na wylocie, albo wrastać w jedno miejsce.

— Należało to uczynić dawniej, bo ciągle czuć cię polakiem; jeżeli zaś zdecydowałeś się dopiero teraz, nie skacz przez płot do innego ogrodu po cichu, według swego zwyczaju, lecz jawnie i głośno, ażeby widziano i słyszano jak najszerzej i jak najwyżej. Wtedy się opłaci!

— Brak mi odwagi.

— Na rozumny krok jej nie masz, a tam, gdzieby wstrzeźliwość przystała, masz za wiele. Idź dziś do pastora, a ja tę sprawę rozetrę. Tylko słuchaj, umiarkuj się, bo żadna religia nie wyżywi tylu dzieci, ile ty ich na świat sprowadzisz.

I stary, który jeszcze przed trzema laty pomnożył swoje potomstwo, a miał go tyle, że córkę tylko pieczywem wspierał, podążył ku domowi. Wkrótce odbyło się bardzo uroczyste przejście Trinkbiera na łono kościoła protestanckiego wobec niższych i paru wyższych urzędników magistratu. W miejscowej gazecie niemieckiej zapisano ten wypadek z odpowiednią pochwałą i morałem politycznym. Ponieważ zaś nawróconego nazwano szlachcicem polskim, dzienniki polskie wyparły go się aż do najdalszych przodków, twierdząc, że herbarze nasze takiego szlachcica nie znają, bo obejmują rodziny młodsze, Starego zakonu swym początkiem nie sięgające.

Trinkbierowi sprawił ten wywód wielką przykrość, a nawet przez chwilę jak gdyby zawrzała w nim krew Trynczy. Ochłodził ją strachem, który zatrząśł nim tem silniej, że tegoż dnia ogłoszony został rozkaz wygnania z Prus osób polskiego pochodzenia i obcego poddaństwa.

Nie odrazu, ale rachuba jego sprawdziła się: piąte dziecko przybyło łącznie z wiadomością o nominacji ojca na referenta.

Wolałby on w swej biblioteczkę rodzicielskiej nie mieć tego piątego tomu, postawił go jednak obok innych bez gniewu, bo otrzymał w pięknej oprawie. Tylko zostawszy sam wieczorem, po całodziennych wzruszeniach, gdy ogarnął wszystkie wypadki swego życia, gdy roztoczył przed sobą we wspaniałych obrazach rozkosze nowej 800-talarowej

pensyi, gdy pomyślał, że oszczędzać musi żonę chorowitą, prawie żałował, że nie poślubił bezdzietnej wdowy.

Nazajutrz o zwykłej godzinie poszedł do biura, gdzie spodziewał się znaleźć urzędowe potwierdzenie radosnej nowiny, o której dotąd wiedział tylko prywatnie. Jakoż zaledwie usiadł przy stoliku i zaczął oddychać uczuciem świeżej godności, poproszono go do prezydenta, za którym kiedyś tak namiętnie głosował i agitował przy wyborze na posła do parlamentu, a który mimo to budził w nim zawsze szczególną bojaźń surowością i dążeniem do nadania składowi urzędniczemu „jednolitości”. Narodowo-liberałem Trinkbier, jak i jego zwierzchnik, był, ale drżał ciągle, czy go „nie czuć polakiem”. Prezydent przywitał go wyniośle, ale łaskawie:

— Winszuję panu awansu, który uważam za dawno zasłużony.

— Tem przyjemniejszym on jest dla mnie — rzekł Trinkbier.

— Wprawdzie nominacja pańska jeszcze nie nadeszła, ale jest ona już przez ministra postanowioną. Odbierzesz ją pan wkrótce, musisz tylko zrobić małe wyjaśnienie. Mianowicie w aktach służby występujesz pan dwuosobowo: z początku nazywawsz się Trynca, polak, katolik; potem Trinkbier, niemiec, ewangelik. Otóż wytłomacz pan to i uzasadnij piśmiennie pod moim adresem, powoławszy się na odpowiednie dowody, a ja prześlę ministrowi.

Trinkbierowi zaszumiało w uszach, mroczki zaczęły mu biegać przed oczami, milczał.

— Gdzie pan się urodziłeś? — spytał prezydent, biorąc do ręki ołówek.

— W Kaliszu.

— Byłeś poddanym rosyjskim?

— Tak.

— Przybyłeś do Poznania w roku 1864?

— Tak.

— Bez paszportu?

— Byłem wówczas małym chłopcem, nie pamiętam więc, czy ojciec mój posiadał paszport.

Następnie prezydent, notując ciągle, badał go o dalsze koleje, dotyczące przemiany nazwiska i wyznania, zawarcia małżeństwa, przekonań politycznych i t. d. Trinkbier, znalazłszy się w drugim okresie swego życia, odetchnął swobodnie, mówił śmielej i obszerniej.

— Byłeś pan łaskaw — rzekł zwierzchnik grzecznie — objaśnić mnie tak szczegółowo, że dla uniknięcia przewłoki sam odpowiem ministrowi i pan nie potrzebujesz pisać osobnego przedstawienia rzeczy.

Uklonił się.

I wrodzona lękliwość i rzeczywista ważność sprawy dodawały każdemu wyrazowi prezydenta takiej mocy, że Trinkbier wyszedł od niego prawie bezprzytomny. Wobec wydanego niedawno rozkazu przeciwko polakom nie mógł on naturalnie cieszyć się z wywołania widm przeszłości; z drugiej strony znał cenę swoich doświadczeń i dowodów wierności, wreszcie prezydent oświadczył, że „dla uniknięcia przewłoki” sam jego życiorys opíše, więc ma dla niego i życzliwość. Ile razy biedakowi zaćmiła się głowa jednym słowem zwierzchnika, natychmiast rozjaśniała się drugiem. W duszy kolejno świeciło mu słońce, zbierały się chmury, przelatowały błyskawice i huczały gromy.

Rozbity i ani wątpień, ani przypuszczeń swych niepewny, zeszedł na dół do biura i wszystkie swe smutki wydobył przed zaufanym kolegą, który go zburczał:

— Nie bądźże trwożliwą babą, która ciągle strachy widzi! Jesteś niemcem, ewangelikiem, zapisanym do ksiąg ludności stałej, odznaczyłeś się, cóż cię spotkać może?

— Mnie wszystko złe się czepia.

Rozmowa ta ściągnęła do nich drugiego urzędnika, który już raz znacząco wymówił Trinkbierowi obce pochodzenie. Nie wtrącał on się wszakże, tylko gwizdał. Gwizdanie to kłuło strapionego.

— Szkoda — rzekł do przyjaciela — że prezydent nie pozwolił mi samemu napisać wyjaśnienia.

— Ależ on to lepiej zrobi od ciebie. Bądź spokojny pamięta twoje usługi przy wyborach, a jako narodowo liberala podeprze cię całymi plecami.

W tej chwili niemy świadek zagwizdał tak przeraźliwie, że Trinkbier aż drgnął.

Usiadł przy dawnym swym stoliku i zaczął pracować. Z drugiego pokoju doleciało go kilkakrotne ciche gwizdnięcie, potem śmiech, który mu się nie podobał, a potem już tylko słychać było skrzywienie posuwanych po papierze piór.

Czasem Trinkbier głęboko odetchnął.

Pozornie uspokoił się, we wnętrzu jego wszakże siedziało jakieś nieuciszone uczucie zestraszania. Uczucie to bądź trzymało go w zupełnej bezwładności, bądź nastrajało go do gwałtownych uniesień. Chwilami gotów był popełnić szaleństwo, rzucić się na kogoś lub targnąć na siebie, a gdy ochłonął, znowu wpadał w stan lęklivosti.

Z takim usposobieniem wyszedł z biura.

Na rogu jednej z ulic dostrzegł afisz, zapowiadający zgromadzenie współwyznawców partii demokratycznej na godzinę piątą. Stanął, odczytał papier uważnie, oddalił się wolnym krokiem, wrócił znowu do afisza, popatrzył nań raz jeszcze i pospieszył ku domowi. Spojrzał na zegarek: była godzina czwarta. Służąca, otworzywszy mu drzwi, rzekła:

— Ach, dobrze, że pan już jest...

— Co się stało?

— Dzieci chore, kaszlą, mają gorączkę. Pani zwlekła się z łóżka i płacze...

Rzeczywiście Trinkbier znalazł dwóch chłopców w łóżku z obwiązanymi gardłami, jeden chodził, ale również miał twarz rozpaloną i oczy szklanne; czwarty jedynie biegał żwawo; matka siedziała blada i zasmucona.

— Co im jest? — zapytał.

— Albo ja wiem — odrzekła żona. W mieście panuje dyfteryt, pewnie go dostały.

Dzieci, ujrawszy ojca, ożywiły się, zaczęły z nim rozmawiać i chwilowo zataryły w sobie znamiona choroby.

— Niepotrzebnie zatrwożyłaś się — rzekł Trinkbier — nic im nie będzie.

Zjadłszy obiad, ucałował tylko dzieci, na które nie zwrócił należytej uwagi i wybiegł na miasto. Z głową spuszczoną i obciążoną uporczywymi myślami, podążył prosto do hotelu, gdzie miało się odbyć zebranie demokratyczne. Wyglądał tak, jak gdyby się znajdował w napadzie bezwiednej, a nieprzepartej energii.

Sala napelniona była ludźmi wszelkich warstw, ze znaczną przewagą niższych. Na podwyższeniu stał wytwornie ubrany, o semickiej twarzy mówca, który gromił przedstawioną świeżo sejmowi państwa ustawę o monopoli wódczanym.

— Jest to — dowodził on — wilczy dół, nakryty złudnymi pozorami, w który rząd chce łapać naiwne zające. Pragnie zmonopolizować wszystko, ażeby w każdej dziedzinie życia ekonomicznego zyskać posłuszne mu, bo od jego woli zależne gromady ludzi gotowych tańczyć, jak im zagra. Nie sądzicie, ażeby to był system nowy, stara to metoda politycznych Molochów.

— Kłamiesz pan! — zawołał Trinkbier wśród powszechniej ciszy.

Obecni byli tak zasluchani, że nie wiedzieli, z czyich ust padły te słowa. Dopiero gdy najbliżsi sąsiedzi niezadowolonego ześrodkowali nań swoje spojrzenia, za nimi inni zwrócili się ku niemu. Po sali przeleciał szmer.

— Jakiś piesek tam, spuszczonej z kanclerskiej smyczy — ciągnął dalej mówca — ukąsił mnie zarzutem kłamstwa. Ponieważ nie wydajemy tu wyroków zaocznych, poproszę więc szan. zgromadzenie, ażeby po mnie temu panu pozwoliło wystąpić z obroną winnych. Może ujrzemy istotnie prawdę. Tymczasem twierdzę, że rząd w monopoli wódczanym zastawił na nas sidła, że gra z nami nierzetelnie i że w tej grze najniecierpliwiej pomagają mu narodowo-liberalni, a między nimi obecny burmistrz poznański...

— Kłamiesz pan! — powtórzył Trinkbier słabszym i drżącym głosem.

Teraz wszyscy obejrżeli się na niego. Był kredowo-biały, usta miał sine, a oczy błędne. Wszyscy zdumieni byli, zamiast zuchwalca widząc tchórza, który trząsał się, jak gdyby go opętał dyabeł strachu. Mimo to gniew ogarnął zgromadzenie. Zaczęto szemrać, wykrzykiwać, powstała wrzawa, którą uśmierzył mówca, zawoławszy:

— Szanowni słuchacze! Skończyłem, a prezydującego proszę, ażeby temu panu dał głos.

— Jak się pan nazywasz? — zapytał prezes.

— Trinkbier — odpowiedział tenże, zachwiał się na nogach.

— Pan Trinkbier ma głos.

Ale Trinkbier pozostał na miejscu. Nie miał siły ruszyć się, stracił zupełnie świadomość położenia, trząsł się jak galareta, wodząc bezmyślnym wzrokiem wokół.

— Na mównicę!

— Dobądź języka!

— Najmita!

— Warczeć umiesz — a szczekać nie!

— Agent!

— Szpieg!

Wśród tych zlorzeczeń i hałasów kilku najzacieklejszych porwało go i zaciągnęło ku estradzie. Trinkbier stanął i otarł perlisty pot z czoła.

— Słuchamy!

On ciągle milczał.

— Pan zrzekasz się głosu? — spytał prezes.

Trinkbier kiwnął głową.

— Za drzwi go! — wrzasnęli zgromadzeni i Trinkbier, jak falą uniesiony, wynurzywszy się kilkakrotnie z jej prądu, wypadł na ulicę. Tu odzyskał przytomność i sprężystość. Lekko podskoczył i popędził ku domowi bez kapelusza. Gdy znalazł się w mieszkaniu, odetchnął i, nie zaglądając do dzieci, usiadł, podparłszy głowę. W tej zadumie przesiedział blisko pół godziny. W głowie myśli musiały mieszać mu się bezładnie, bo blada twarz odbijała coraz nowe, a zawsze przykre wrażenia. Kilkakrotnie szepnął: Zbóje — szubrawcy — hołota. Nareszcie wstał, strzepnął z siebie smutek, jak kaczor wodę i zaczął chodzić po pokoju rażno. Powoli wstępowała w niego otucha, oczy zamigotały weselej.

— Ciekawym — mówił do siebie — co powiedzą...

A po chwili dodał:

— Chyba dosyć...

Monolog ten przerwała żona:

— Lorenz, Lorenz!

— Dzieci jednak chore — rzekła, gdy wszedł do niej. August też się położył. Od czego taką krwawą rysę masz za uchem? I tużurek rozdarty.

— Przewróciłem się w ogrodzie — odparł Trinkbier i zaczął oglądać dzieci.

— Prześpią się — mówił — i będą zdrowe.

— Dałby to Bóg.

— A ty jak się masz?

— Niedobrze, mój drogi, piersi mnie bolą, ale to może z utrudzenia.

— Odpocznij, ja już nie wyjdę.

Wrócił do swego pokoju i zajął się robotą, którą często przerywał, kładł pióro, rozmyślał i wzdychał. Gdy noc zapadła, a służąca z lampą przyniosła gazetę, otworzył dzienniki i zaczął je czytać. Między innymi wiadomościami znalazł następującą: „Dziś odbyło się zgromadzenie demokratów, na którym odbijano zdawkowe liczmany frazeologiczne przeciwko monopolowi wódczanemu. Znaną wszakże gadaninę urozmaicił wypadek, który oglądę tych panów w należytem stawia świetle, a nad którym z powodu braku czasu zastanowimy się w numerze następnym. Trzeba bowiem czytelnikom obszernie i dowodnie wytłomaczyć, że są między nami opryski, którzy jednak prawdziwej odwagi obywatelskiej nie trwożą, choć jej zamykają usta”.

Trinkbier nie wątpił, że napomknięto o jego zajściu i że on był przedstawicielem owej „prawdziwej odwagi obywatelskiej”.

Przeczytał notatkę po raz drugi i uczuł dziwne pokrzepienie na duchu. W goryczy świeżych wspomnień z tych kilku wierszy rozplywała się słodka pociecha. Bohaterski czyn będzie publicznie odznaczony, a napaść ukarana. Echa zasługi wzbijają się do wysokich sfer, które nie pozostawią jej bez nagrody. Uznanie takie mieć będzie dla niego tem większą wartość, że sfery te wydały rozkaz jak najściślejzego i bezwyjątkowego usunięcia z granic państwa wszystkich polaków, zostających niegdyś w obcym poddaństwie. On zaś był przecie Trynczą... Opromieniony tą nadzieją, uśmiechał się do lampy, wstawał, zacierał ręce, siadał, próbował odrabiać dalej referat, brał gazetę i dumał.

Z pokoju żony od czasu do czasu przybiegały ciche jęki, westchnienia i kaszle. Chwytał je uchem, rozważał i znowu snuł nić przyjemnych marzeń.

Około godziny II położył się do łóżka.

Żona i dzieci spały. Śród ciszy nocnej piersi ich pracowały głośno i ciężko. Trinkbier wsłuchiwał się w te oddechy z uwagą i niepokojem. Brzmiały w nich świsty, chrapania, rżenia. Powoli wyróżnił każdy z osobna i z każdego usiłował wy badać zdrowie lub chorobę.

Żona oddychała cicho, ale płytko i nierówno. Płuca jej jak gdyby nie działały całą powierzchnią, jak gdyby nie mogły się otworzyć głębiej dla przyjęcia powietrza. W pewnych odstępach czasu przyspieszały swój ruch, który znowu potem tak wolniał, że za ledwie się zdradzał zewnątrz. Zawieszały go westchnienia długie, niemające wszakże jednolitej ciągłości, lecz rwane i sztukowane. Nieraz nawet przecinały się w połowie i nikły.

Najstarszy Fryderyk, chłopiec krzepkiej budowy, chrapał, jak duszony. Trudno było uwierzyć, że młode gardło może wydobyć z siebie taki gruby głos, który rozlegał się w całym mieszkaniu. Chrapanie to nie trwożyło ojca, owszem, wlewało weń otuchę, że syn mocnym snem pokona chwilową słabość.

Jak gdyby na poparcie dobrej wróżby Fryderyk, któremu oddech zatkał się, wyparł z krtani przeszkodę z gwałtownym hukiem.

Gorszym Trinkbierowi wydawał się oddech młodszego Karola. Było nieprawidłowy i z różnych tonów złożony świst, który ustawicznie zmieniał moc i brzmienie, zadzierał się, błąkał w wylocie, zaparty w gardle przelatywał nosem, wstrzymany w nosie wymykał się gardłem, a zawsze z przygłosem wysiłonego tarcia. Czasem znowu już przy samym ujściu zaczynał się o jakąś stałą tamę i wydawał dźwięk podobny do: „haaak”. Chłopiec, mając w piersiach więcej powietrza, niż go mógł przepuścić zwężony przewód, targał się na łóżku, siadał, mówił przez sen, przywoływał rodziców. Gdy go ojciec uspokoił, przez czas pewien oddychał regularniej i swobodniej, ale wkrótce znów rozpoczynał suchą, świszczącą i skrzeczącą muzykę, która brzmiała złowrogo.

Trzeci z kolei August przyjmował w tym koncercie odmienny udział. Jego oddech, przechodząc przez śluz, obficie wyścielający gardło, wywoływał w nim ciągle klekotanie.

— Odkasznij! — wołał ojciec.

Chłopiec próbował ulżyć sobie, ale zakrztusiwszy się tylko, rozpoczynał znowu klekotać gardłem. Nieraz udało mu się połknąć flegmę, wtedy oddychał czysto, ale trwało to niedługo. Tylko dwoje najmłodszych dzieci nie zdradzało choroby. Trinkbier słyszał ich oddechy równe, swobodne, głębokie, które jego uwadze pozwalały z zadowoleniem odpocząć po dręczącym wsłuchiwanym się w inne.

Daremnie usiłował zasnąć. Już znużenie kleiło mu powieki, gdy znowu chrapliwy kaszel lub ostre rżenia spłoszyły senność.

Wstał, zapalił świecę i obejrzał dzieci: wyglądały zdrowo, czerwono, a nawet oddychały cicho, bez tych skrzypień świstów i chrypień, które przedtem tak grały. Wywnioskował więc, że to tylko cisza nocy potęguje głosy i położył się do łóżka.

Wprawdzie przykry chór oddechów zabrzmiął z poprzednią mocą, ale Trinkbier słuchał go obojętniej i zaczął rozpamiętywać wypadki dnia ubiegłego: rozmowę z prezydentem, uporczywe gwizdanie jednego towarzysza, perswazyje drugiego, protest w zgromadzeniu demokratycznym i napaść brutalów, wreszcie artykułik gazety i nakaz rządowy, co do usunięcia obcych żywiołów. Chociaż w szeregu tych obrazów przesuwają się i ciemne, więcej widział jasnych i, podsumowawszy dodatnią stronę swojego życia, otrzymał pewność zupełnego bezpieczeństwa. Na dworcu szaruga listopadowa dmuchała wyjącmi wiatrami i pluśkała deszczem; Trinkbier myśląc o tułaczach, którzy będą musieli wśród chłodu i wilgoci opuszczać swoje siedziby i porównywając z ich niedolą swój los, osłaniający go od burz i wygnania, w ciepłym łóżku doznawał wszystkich rozkosznych wrażeń tej różnicy. Służba bywa często cierpką, obowiązki ciężkie, kłopoty dotkliwe, ale taczkę można pchać i nieraz powiesić na niej słodki owoc życia. Tymczasem gdyby wicher zburzył gniazdo, gdyby potrzeba było z choremi dziećmi o biedzie pójść na tułaczkę bez drogi i celu... Trinkbier aż się zatrząsł na to przypuszczenie. Wkrótce jednak uśmiechem odpędził marę i zasnął.

Spał tak twardo, że rano go ledwie żona dobudziła.

— Lorenz, Lorenz!

— Czego chcesz Ludwiko?

— Dzieci bardzo chore, nieprzytomne.

Zerwał się i usiadł na łóżku.

— Policjant — rzekła żona — przyniósł ten list.

Trinkbier rozdarł kopertę i ledwie spojrzął, jęknął i upuścił papier, który żona podniosła i przeczytała: „Wawrzyniec Trynca z przydomkiem Lorenz Trinkbier, poddany rosyjski bez paszportu, ma opuścić Prusy w ciągu dni ośmiu”. Patrzyli na siebie w osłupieniu: on oddychał powoli, ona szybko, a dzieci im wtórowały różnymi głosami.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/oddechy/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. I], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0837-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).